№ 8.

WARSZAWA

23 Lutego

1862.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj:

Nr 1527.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: *Święty Feliks albo Szczęsny.— Włochy XI (Czasy Napoleona). — Gawęda warsztatowa: O spółce Tellus w Poznańskiém (dokończenie).— Różności: Szkoły w Waliszewie, Psarach, Gowarczowie, Kościół we wsi Udrygi, Jeszcze o szkółkach.*

Święty Feliks albo Szczęsny.

18go Stycznia.

—

Feliks albo Szczęsny z Noli miasta włoskiego, syn bardzo bogatych rodziców, w młodości sobie stan duchowny obrał. I będąc pierwéj w kościele czytelnikiem, potem do stanu kapłańskiego przyszedł, i wielkie kapłańskie cnoty mu przyniósł, jako się to w prześladowaniu pokazało. Za jego czasu wszczęło się na chrześciany ciężkie od pogaństwa uciemiężenie: wyznawców Chrystusowych bałwochwalcy okrutnie męczyli i zabijali, a najwięcéj gniew swój i szaleństwo na pasterze owiec Chrystusowych wywierali. Gdy się ich miecz o Nolę oparł, pojmać biskupa Nolańskiego Maksyma już sędziwego starca myślili, lecz starzec przestraszony, Feliksa na swem miejscu zostawiwszy, i jemu trzodę swoją poruczywszy, schronił się, a po pustych się górach i bardzo niewczesnych miejscach kołatał. Prześladowcy biskupa nie nalazłszy, Feliksa pojmali, i w ciemném więzieniu osadzili, w którém on wielkich pociech w Bogu swym, dla którego cierpieć wszystko miał wolę, używał. Siedząc ciasno bardzo, okrutnie za nogi i za ręce związany, na ostrych skorupach posadzony, zimnem a głodem zmorzony, leżeć, ani zasnąć nie mógł.

Tymczasem święty Maksym biskup, długo po puszczy się błąkając, głodem też i nędzą w starości swej prawie obumarły, ruszyć się już z miejsca nie mógł, jedno ducha Bogu polecając, a więcej na osierocenie trzody Chrystusowej bolejąc, szczęśliwej śmierci czekał. Boskie miłosierdzie, którém swe sługi opatruje, na jego pomoc taką drogę znalazło. Przyszedł Anioł Boży do Feliksa w ciemnicę onę i świetnie w oczach jego stanąwszy, rzekł: „Wstań, a pójdź ze mną." On odpowie: „A jako mam wstać tak ciężko spięty będąc." Rzecze mu drugi raz Anioł: „Wstań, na te łańcuchy nie dbaj, a idź na pustynię, szukaj swego biskupa, ono już głodem i nędzą umiera." Feliks wstaje wolny od wszystkich oków i łańcuchów, które z niego na on głos spadły, a straż i wrota przeszedłszy, poszedł prędko na puszczę, znalazł biskupa Maksyma już pra-

wie konającego i na swoje ramiona wziąwszy, niósł do jednej wdowy, w któréj tajemnie biskup one złe czasy prześladowania przeżył. A sam Feliks wstrzymać się nie mógł, aby się ku posiłkowi chrześcian do nich nie wrócić, żeby w onych pokusach i utratach majętności i zdrowia, Chrystusa się nie zaprzali. Z wielką go pociechą jako zmartwychwstałego chrześcianie oglądali, a on nietylko słowem, ale i przykładem wiódł ich do tego, aby temi świeckiemi dobrami gardzili, a wszystek skarb swój w niebie mieli: tych się zaś nie bali, którzy ciało zabijają, ponieważ daléj swego gniewu i mocy rozciągać nie mogą; lecz Pan Bóg i na duszy, na wieki wieków bez końca mścić się może, gdybyśmy jego rozkazanie przestąpili, a zaprzeć się go w tych krótkich mękach mieli. Prawie jako prorok uczy: *Ręce spuszczone posilał i nogi zemdlone umacniał, a wołał ten kaźnodzieja wielki, mówiąc: „Bojaźliwi stójcie mocno, a nie lękajcie się! Oto Bóg wasz przyjdzie, a wybawi was.“*

WŁOCHY.

(Czasy Napoleona)

XI.

Pierwsza była sprawa Napoleona, jak tylko we Francyi najpilniejsze rzeczy załatwił, żeby się o Italię z Austryakami rozprawić. Więc nagle przeszedłszy z wojskiem najwyższe góry szwajcarskie, którędy go się nikt nie spodziewał, zjawił się we Włoszech w Czerwcu roku 1800 i w wielkiéj batalii pod Marengo, na głowę Austryaków pobił. Tymczasem inne wojska francuzkie wtargły do Niemiec i również im się powiodło: musiała Austrya ustąpić z Włoch północnych i środkowych i tylko Wenecki kraj zatrzymała. Na tem stanął pokój tym razem. Królestwo Neapolitańskie zostało się jeszcze pod dawném panowaniem i niektórzy inni książęta ocaleli; ale Piemont do Francyi przyłączono, tak że królowi Sardyńskiemu tylko wyspa Sardynia została; Genueńska rzeczpospolita także zachowała się, a z Lombardyi, Mantuy, Parmy, Modeny i kilku prowincyi papieżowi zabranych, utworzyło się osobne państwo, ale pod francuzką zwierzchnością. Nie długo to tak było, bo w cztery lata potém, w nowéj wojnie z Austryą, w roku 1805, odebrał jéj Napoleon i Wenecyę z całą jéj ziemią, i już zupełnie z Italii Austryaków wyrugował. Wenecki kraj został przyłączony do owego to państwa nowego, do Lombardyi, i nazwał to Napoleon królestwem *Włoskiem*. Stolica tego królestwa była w mieście Medyolanie; Napoleon ukoronował się na króla Włoskiego ową starą, żelazną koroną lombardzką. Wypędzić też kazał i króla Neapolitańskiego za to, że z Austryą trzymał: tylko wyspy Sycylii nie mógł mu już zabrać, bo mu Anglicy nie dali, którzy są bardzo na morzu potężni. Od tego czasu już były w całych Włoszech francuzkie rządy; Napoleon jak chciał tam dysponował: rozdawał królestwa, księstwa, miasta braciom, siostrom i innym krewnym; niektóre znów części Włoch całkiem do Francyi przyłączał. Tak się stało prócz Piemontu z Genuą, tak i z resztą Papiezkiego kraju: po trzeciéj wojnie z Austryą w roku 1809, uważając, że papież Pius VIImy też na stronę Austryi jest skłonny, ogłosił Napoleon dekret, że zabiera napowrót to, co niegdyś tysiąc lat temu, cesarz Karol Wielki papieżom darował, i że odtąd państwo Kościelne do Francyi należeć będzie, a Rzym sam ma być wolném miastem pod francuzką opieką; zaczem kazał papieża do Francyi zawieść i tam mu mieszkanie i pensyi dwa miliony wyznaczył. Za takie gwałty rzucił papież klątwę na Napoleona, ale ten na to nie zważał, choć wielkie ztąd w rządzie kościelnym trudności i zgorszenia wynikły.

Kilkanaście było lat panowania francuzkiego w Italii. Jako kraj i naród osobny, prawdę mówiąc, nic Włosi i wtedy nie znaczyli, tak samo jak i pod Austryakiem; co w Paryżu postanowiono, tego musieli słuchać; a wszelako ogromna w te czasy zrobiła się różnica i odmiana od dawnego, powstały bowiem początki tych wielkich rzeczy, na które dzisiaj oto patrzymy.

Austryacka przewaga i władza, tego tylko we Włoszech pilnowała, żeby się tam nic bardzo nie ruszało, i żeby tam żadna inna potencya zachodów jakich nie czyniła; a krom tego jak sobie Włoscy książęta i króle i miasta żyły, rządziły i sądziły i gospodarowały, to już Austryi o to nie wiele szło, choć zawdy wo-

lała żeby wszystko po staremu było. Co innego znów Francuzi: ci, rzec można, nic zgoła na dawnem miejscu nie zostawili, a nowe całkiem swoje porządki zaraz powprowadzali. A były te porządki różne: jedne się Włochom dziwnie tylko wydały, a inne też i bardzo im były ciężkie. Nasamprzód pierwsza u Francuzów reguła, równe prawo nad wszystkiemi: że dla żadnego tam stanu albo kondycyi folgi osobnéj w niczem nie dawano, co była we Włoszech, jako i gdzieindziej rzecz nowa. Tak naprzykład, miała Italia mnogość wielką klasztorów bogato ufundowanych i majątków tam przy tych klasztorach i dóbr znacznych siła, a wszystkie te klasztory i całe duchowieństwo miało swoje rządy i sądy i prawa, że już z duchowną osobą, to się nie można prawować inaczéj, jak w duchownym sądzie, u biskupa albo prowincyała; a kto jeśli zawinił i nabroił, a do klasztoru lub kościoła skrył się, to go już sąd pochwycić i karać nie mógł, aż za pozwoleniem duchowném. Podatków też żadnych ze wsi i własności swoich duchowni nie płacili i inne różne przywileje mieli. Szlachta też swoje przywileje miała, a miasta też swoje różne: słowem prawie toż było co i we Francyi i innych krajach, przed ową rewolucyą. Otóż za francuzkiego panowania wszystko to ustało, klasztory pokasowano; majątki duchowne poszły na skarb; podatki wszyscy płacić zarówno musieli, sądy jedne dla wszelkiego stanu ludzi postanowiono. Poddaństwa zdawna już na Włoskiéj ziemi nie było, ale gdzie się zostały jakie pańszczyzny, daremszczyzny albo robocizny z przymusu, to też pod francuzkiém prawem musiało się odmienić na czynsze, albo inne kontrakty. Do wojska za to brali Francuzi nie pytając, i to co rok, według popisu; podatków też wszelkich nikomu nie darowali: a szło i tego i tamtego dużo; Napoleonowi wciąż trzeba było wielkiéj mnogości ludu i pieniędzy co niemiara, na te ustawiczne jego wojny, to z Austryakiem, to z Prusakiem, to z Rossyą, to z Hiszpanią i Anglią, bo z nikim prawie w pokoju i przyjaźni nie był. To też to było dla Włochów utrapienie, co do wojaczki wcale byli nie nawykli, jak ich Francuz wziął po swojemu w obroty, a posyłał na wojnę gdzieś w dalekie kraje, na mrozy i śniegi i pochmurne słoty, czego oni w swojéj ciepłéj, słonecznéj i pogodnéj ojczyźnie prawie że nigdy nie doświadczali.

Słowem, ostre były francuzkie rządy i jakoś zrazu włoskim obyczajom przeciwne; te porządki i dozory i wglądanie we wszystko i pilnowanie akuratne, to już w tem Włosi ochoty nie mieli. Tacy, którzy oświeceńsi byli, jak po miastach, więc rozumieli, że to może nie zła ta francuzka nauka i one prawa dokładne i sprawiedliwość jednaka dla wszystkich; ale co prosty naród po wsiach nie znał się na tych rzeczach, a tylko na rekruta narzekał, na podatki i na francuzką surowość. A osobliwie księża i zakonnicy, których taka tam moc, bardzo byli na Francuzów zawzięci, że im majątki i klasztory bogate pozabierali, że papieża samego porwali i uwięzili, że przywilejów duchownych znać nie chcieli. To też między narodem tak było od księży i od zakonów to przeciwieństwo na francuzów podbudzone, że bezbożni są i heretycy; jakoż i w saméj rzeczy mało było podówczas między Francuzami nabożeństwa, a dopieroż między wojskowymi; więc nie dziwota, że narod Włoski, nabożny będąc, a za księżmi we wszystkiem idąc, tak to właśnie przyjmował, i choć się Francuzów dobrze bał, to też za to i serca zgoła do nich nie miał.

Pokazało się to wkrótce: gdyż nie bardzo długo francuzkie te rządy nad Italią trwały: dopóty tylko, dopóki Napoleon stał górą. Był to po prawdzie wojownik niesłychany i władca nad ludźmi dzielny, ale też pychę miał w sobie bez żadnego zgoła pomiarkowania: świata całego mało mu było, a ludzką dolę i niedolę, krew i łzy za nic ważył, byleby sobie dogodzić. Pycha też do ślepoty i do zguby Napoleona przywiodła. Wojując i zwyciężając wszystkie prawie potencye i pokrzywdziwszy wszystkie z kolei, żadnego natomiast trwałego przyjaciela dla Francyi i dla siebie nie pozyskał; panowania tylko żądny był, aby mu wszystko co jest na świecie służyło, a nikt z nim nie śmiał być w równości. Tylko z jednymi Anglikami nie udawało się Napoleonowi: najprzód, iż kraj Angielski na wielkiéj jest wyspie, dokoła morzem oblany, że tam dostąpić z wojskiem trudno, potém, iż angielski naród nad inne mądry, waleczny i wytrwały, doskonałe rządy swoje mający, a i przemyślny i bogaty bardzo; więc i sami się Francuzom

nie dali, ale owszem okrętów moc wielką posiadając, wyspy im wszystkie na morzach pozabierali, francuzkie okręty poniszczyli, panami wszędzie na morzu zostali i gdzie kto tylko przeciwko Napoleonowi powstał, zaraz od tych Anglików pomoc miał, z wojska ich, z pieniędzy i z broni, czego tylko było trzeba, dostarczali.

Do tego więc przyszło, iż kiedy te dokazywania Napoleona do ostatka królom i narodom dokuczyły, a w Rossyi mu się w 1812 r. noga powinęła, i Hiszpanie z Anglikami dzielnie się trzymali, to się nareszcie w następnym roku 1813, wszystkie niemal mocarstwa i ludy w Europie, na Francyę zmówiły i złączyły. Polacy prawie od początku do końca statecznie z Napoleonem trzymali, nadzieję mając, że wielkie rzeczy dla nich uczyni. (*) Owóż poszły wojska przeróżne, austryackie, pruskie, i niemców wszystkich, i rossyjskie i szwedzkie i angielskie, było tego z milion może; jakby ławą wszystka ta moc świata na Francyę się waliła i zewsząd ją, rzecby można, zalała. Nie mógł i sam Napoleon poradzić, bo przez te wojny swoje ustawiczne, ludzi własnych tak wygubił, że i rekruta brakowało; ogarniał się czas jakiś walecznie i śmiało i sztucznie od téj nawały, i bitwy jeszcze wygrywał, lecz jak to mówią, siła złego na jednego: więc go liczbą i siłą w końcu zmogli. Poddał się sam Paryż na wiosnę 1814 roku obcym monarchom, i stanęło na tém, że Napoleona od korony całkiem odsądzili. Chciał on żeby choć syn jego mały po nim na Francuzkiem państwie został, ale i na to zgody mocarstw nie było. Dali tylko Napoleonowi na własność małą wysepkę Elbę na Śródziemnem morzu, a żonę, iż była austryacka księżniczka, razem z synem tym do Austryi odesłali, a potém jéj we Włoszech księstwo osobne wyznaczono. Królem Francuzkim został brat owego ściętego za czasu rewolucyi Ludwika, imieniem także Ludwik, ale pod tym warunkiem, żeby już tamtych praw nowych co były wtedy ustanowione, nie odmieniał.

Nie długo jednak Napoleon na swéj wysepce wytrzymał. W rok niespełna, umknął ztamtąd i do Francyi napowrót przyjechał. Wojsko zaraz całe do niego przystało, bo go lubili, że wielki wódz: król nowy musiał uciekać i tak niby od razu wszystko się udało, tylko że nie na długo. Wojska one wielkie nieprzyjacielskie jeszcze na pogotowiu były, więc okrutną przegrawszy bitwę z Anglikami i Niemcami pod Waterlo (w Belgii), w Czerwcu 1815 r. znów Napoleon powtórnie i gorzéj jeszcze upadł; już mu nic tym razem nie dali, lecz zawieźli go Anglicy, którym się dobrowolnie poddał, na bardzo dalekie morza i tam osadzili go pod strażą, na maleńkiéj wysepce świętéj Heleny, gdzie go już do śmierci dobrze pilnowali. W sześć lat potém, to jest w roku 1821, umarł na tym szczupłym zakątku ziemi mąż ten wielki, co światem trząsał, i wielkiego państwa Francuzkiego jeszcze mu było nie dosyć! Syn Napoleona umarł, młodym będąc człowiekiem, w jedenaście lat po ojcu, czyli w r. 1832 w Wiedniu, gdzie mieszkał przy dziadku swoim, Austryackim cesarzu Franciszku.

Co się tyczé Włoskiego kraju, to zaraz na początku 1814 roku, kiedy się już wszystko na Napoleona obróciło, weszła tam znaczna część austryackiego wojska. Francuzi trzymali się obronnie, dopóki się sam Napoleon we Francyi jeszcze trzymał; ale jak się tylko jego panowanie skończyło, ustąpić całkiem musieli przed przemagającą siłą, i miawszy niedawno całą Italię pod sobą, ani jednéj z tego wioseczki im się nie zostało.

Za ustąpieniem Francuzów i wejściem Austryaków, zaczęły Włochy do dawnego niby stanu powracać. Papież Pius VII państwo swoje w całości napowrót objął; dawny król Neapolitański, co przez francuzkie czasy siedział na wyspie Sycylii, wrócił też, ale okrucieństwa straszne nad własnymi poddanymi wyrabiał, a to ze złości i zemsty, że go byli Francuzi wypędzili, którym nie mógł nic zrobić. Wrócił i król Sardyński ze swojéj wyspy Sardynii, toż i inni mniejsi książęta; a każdy prawie od tego zaczynał, żeby francuzkie porządki kasować, a do dawnego ładu, albo nie-

(*) Z krajów polskich odebranych Prusakom w r. 1807 i Austryakom w r. 1809, utworzył Napoleon księstwo Warszawskie ze stolicą Warszawą i oddał je w zarząd królowi Saskiemu z niemieckiego rodu. To samo księstwo zostało nazwane późniéj na zjeździe monarchów w Wiedniu, czyli na kongresie w r. 1815, po upadku Napoleona, królestwem Polskiem i przyłączone do państwa Rossyjskiego, tylko z tą różnicą, że prowincyę Poznańską Prusakom oddano.

piej nieładu, wszystko przywracać, i oraz prześladować tych co Francuzom służyli i z nimi trzymali. Tylko ani Wenecka rzeczpospolita na nowo nie powstała, ani Genueńska. Weneckie kraje razem z Lombardyą, czyli owe *Włoskie* królestwo przez Napoleona utworzone, zabrała sobie całkiem Austrya; zyskała tedy przeszło dwa razy więcéj, niż miała była przed francuzką rewolucyą. Po zwaleniu Napoleona, zjechali się monarchowie co z nim wojowali, do Wiednia; był ten zjazd wielki czyli *kongres* przez czas długi, i na nim uradzono do kogo który kraj ma należeć. Oddano tam Genuę królowi Sardyńskiemu, a zresztą stało się we Włoszech wszystko tak, jak Austrya chciała. Znowu po dawnemu, po jéj woli włoskie sprawy iść musiały, tem ci bardziéj, że taką wielką część kraju tego posiadała; królowie też i książęta włoscy wszyscy z Austryackim cesarzem w pokrewieństwie albo powinowactwie będąc, tak prawie znaczyli, jakby jego namiestnicy. Obawiając się francuzkiego ducha i tych tam nowości, nie dowierzali już ci książęta swoim poddanym i nie spuszczali się na swoje wojsko, co się z francuzem bratało, ale oglądali się na austryackie siły, zawsze w pogotowiu stojące. Tak też osobliwie i w państwie Kościelnem się działo, gdzie papież po dawnemu, duchowne rządy i przywileje i fundacye przywróciwszy, a nowości francuzkich nie chcąc, na Austryi we wszystkiem polegał.

Zdawało się tedy, że pójdą znów rzeczy w Italii starym torem; że tak jak i niegdyś rozdzielona i pod obcą wielką przewagą, nigdy już chyba do połączenia nie dojdzie, ani do własnéj niezależności; a tymczasem pokazało się co innego. Ale pokazało się nie odrazu i nie prędko: pięćdziesiąt lat blisko musieli jeszcze Włosi pracować ciężko i dużo wycierpieć, nim do tego przyszli co mają obecnie.(*)

Gawęda warsztatowa.

O spółce Tellus w Poznańskiem.

(Dokończenie).

We dworze świeciło się także; tam stary dziedzic z gorączkową żywością uspakajał za noszącą się od płaczu wnukę, wydawał rozkazy swemu krewnemu, który przewiezieniem rzeczy i zdaniem majątku nowemu właścicielowi, miał się zająć. Pan pułkownik pragnął ten stary dwór dziś już nie jego, jak najprędzéj opuścić, aby nie widzieć własnemi oczyma, jak go Niemcy mieli zająć w posiadanie. Wydawszy rozkazy sędziwy dziedzic, zasiadł podumać w swoim pokoju, gdzie się urodził, gdzie przyszedł na świat jego ojciec, dziad... i tylu, tylu mu drogich. Wy w mieście urodzeni... wychowani w najemnéj izbie, nie czujecie co to jest dom rodzinny, w którym się przeżyło całe życie, często tak długie i bolesne. Tak czuwających dwóch starców we wsi: jednego we dworze, drugiego w chałupie, zastało wstające ze snu słonko. Oświeciło ono wesoło Żegocin, jakby tu nic smutnego, nic boleśnego się nie stało. Ludzie zaczęli wychodzić do pracy... ale wychodzili smutni, bo z wieścią o nieszczęściu dobrego dziedzica, o swym losie pod nowym panem. Oracz od pługa, parobek od cepów, kobieta od statków odrywali oczy, zwracając się smutnie ku dworowi, gdzie nadzwyczajny ruch panował. Na dziedziniec zatoczono powóz, pakowano tłumoki, wynoszono rzeczy na furę; uwijała się służba, ale jéj jakoś nie szło.. każdy chodził jak w pół martwy; temu się ręce trzęsły od wzruszenia, inny ocierał w kątach rękawem załzawione oko. Pan pułkownik z wnuczką siedział w ganku osłabiony, zmieniony i drżącym głosem wydawał rozkazy. Było to wszystko tak smutne, iż zdawało się, że ludzie ci gotują przybory do pogrzebu.

Tymczasem mijały godziny, uszło południe i słonko ku zachodowi zaczęło schylać swą głowę. Gospodarze, parobcy, kobiety, dziewuchy i dzieci, zbierali się przy chacie Łukaszka. Poważniejsi wchodzili do wnętrza dla złożenia starcowi swego daru, upraszając aby go wręczył dziedzicowi. Gdy już nikogo nie brakło, ruszyła gromada tłumem przez wieś ku dworowi, lecz nie tak, jak to bywało na dożynki z wesołym śpiewem, ale w milczeniu, kiedy niekiedy przerywaném cichemi westchnieniami. U ganku przyjął swych włościan dziedzic. Smutnem po tłumie powiódł okiem i wzruszonym, drżącym głosem, w te odezwał się słowa: „Pragnąłem moje dzieci raz was jeszcze zobaczyć, aby się przy rozstaniu pożegnać, aby was przeprosić! Tak, prze-

(*) Do tego artykułu dołącza się mapa Włoch.

prosić! nie tylko za to wszystko, com mógł w ciągu życia przykrego wam uczynić, ale i za to, że w obce was ręce oddaję. Ciężko mi z tem na sumieniu, że kawał ojczystéj ziemi, że garść ludu naszego, pod obcą przechodzą władzę. Los okazał się dla mnie twardym: na starość pozbawiając mnie strzechy, gdzie żyli moi ojcowie, pozbawiając rodzinnego zagonu i was których kochałem jak dzieci. Niech będzie jednak wola Najwyższego! Jego opiece was polecam! Obcego będziecie mieli dziedzica i obcych zapewne przyprowadzą ludzi, proszę więc was, pracujcie usilnie, starajcie się znosić ciężary, aby koloniści cudzoziemcy nie wydarli wam rodzinnych zagonów jako mnie! To ulży mojemu sumieniu, bo mam przekonanie, że może lepiéj wkrótce dziać się będzie na téj nieszczęśliwéj ziemi. Jam stary oglądać tego nie będę, nie długo bowiem spocznę snem, z którego tylko Bóg na sąd ostateczny zbudzi... ale rozraduje się duch mój, gdy was w zgodzie i jedności, przy waszych zagonach ujrzy! Teraz bądźcie zdrowi i wspomnijcie kiedy niekiedy o waszym starym panu.“ Łzy potoczyły mu się po twarzy zarumienionéj gorączkowo, a tém łzom towarzyły szlochy kobiet, a i nie jeden gospodarz ocierał zwilgocone oczy. Gdy dziedzic skończył i uspokoiły się nieco kobiety, wystąpił przed gromadę, wsparty na mojém ramieniu dziaduś Łukaszek i kłaniając się nisko, rzekł: „Jaśnie wielmożny panie pułkowniku! Młodość moją przebyłem w wojsku pod rozkazem pana pułkownika! Gdzieśmy byli, długoby o tem trzeba rozpowiadać, dość, że się służyło jak mogło. Później JW. panie, na jednym pracowaliśmy zagonie, znosząc jedne koleje i klęski. Lecz czyż spodziewałem się, żebym miał żegnać pozbawionego domu swych ojców pana? Inne czasy pamiętam, innych czasów dożyłem! Snać nie nasza, ale Boska w tem wola. Po twoim odjeździe i nam tu niedługo będzie ostać... bo i któż nas radą, pomocą wesprze, gdy ciebie ojcze nasz nie stanie?! Bóg chyba tylko! Zostanimy tu aby pilnować naszych zagonów... lecz czy ostoim się przy nich, tego nie wiem; gdybyśmy jednak nie utrzymali się, to nie bądź zagniewany na nas panie pułkowniku, tak, jak nie gniewałeś się, gdy poranieni i pokaleczeni, przed liczebnie silniejszym cofaliśmy się nieprzyjacielem. Nim raz ostatni ojcowskiém obdzielisz błogosławieństwem, oto gromada, tak na pamiątkę, w dowód swéj wdzięczności. . żeby ten oto kwiatek (tu wskazał na wnuczkę pułkownika), nie cierpiał niedostatku, składa grosz wdowi. Nie odmawiaj JW. panie pułkowniku! dodał szybko Łukaszek, kładąc u nóg dziedzica trzos z talarami i pochylając się do kolan. Ale wprzódy uchwycił go w swe objęcia pan pułkownik, a ściskając się serdecznie oba starcy, niegdyś towarzysze broni, rozpłakali się rzewnie. „Nie! nie mogę tego przyjąć, uspokoiwszy się nieco odrzekł pan pułkownik... nie mogę, choć całéj gromadzie sercem dziękuję, jak dziękuję Najwyższemu, że mi dowodów przywiązania ludu dożyć dozwolił. Odjeżdżam ztąd spokojniejszy, pocieszony, że tak idąc daléj, lepszéj doczekacie doli. Ja mam krewnych za Prosną, tułaczowi bez ojzzystego dachu nie odmówią schronienia. Dar wasz byłby mi ciężarem niepotrzebnym. Wezmę tylko jednego na pamiątkę talara i oddam go mojej wnuczce, jako relikwię rodzinną.“ „O dziecię moje, rzekł pułkownik zwracając się do swéj wnuczki, chowaj ten pieniądz sercem ludu ofiarowany, a z potu uczciwéj pracy nie oschły, chowaj, bo to talizman zacności życia! „O tak panienko, chowaj i spojrzawszy wspominaj gromadę Żegocina!“ wołały kobiety cisnąc się, aby ucałować ręce młodej pani. Pułkownik błogosławił wszystkich, z każdym się żegnał, a pomodliwszy się na progu domostwa, spokojniejszy jakoś i rzeźwiejszy siadł do powozu, który tocząc się zwolna, mijał gościnną bramę dworu Żegocińskiego. Gromada pociągnęła za powozem i tak powoli noga za nogą postępował cały orszak przez groblę nad Notecią, po drodze, aż do małéj kapliczki, przy któréj ogrodzony okopem rozciągał się wiejski cmentarz. Tu pan pułkownik kazał zatrzymać konie i wysiadł z powozu. „Myślałem, odezwał się do obecnych, iż tu obok ojcowskich złożę i swoje kości, ale snać Bóg przeznaczył mi inaczéj; rozprawiając się orężem, w stu bitwach ocalały, upadłem w walce na pieniądze. Oto ostatnia moja prośba: szanujcie groby rodziny mojéj i w dzień zaduszny niech szczerą ręką postawiona świeca, zabłyśnie na grobie przodków moich!“ To mówiąc zgiął drżące kolana pan pułkownik przed głazami grobowemi; do niego tuliła się wnuczka, a daléj po-

kornie uklękła cała gromada. Zadzwoniła sygnaturka kościołka na Anioł Pański, a promienie ostatnie zachodzącego słońca oświecały tę scenę, która stoi oto przed memi oczami i póki żyć będę, nie zejdzie mi z pamięci. Po chwili słońce na niebie zagasło, a w kłębach kurzu po drodze znikał powóz, unosząc sędziwego pana pułkownika.

Nie sprawdziły się nadzieje starca lepszéj przyszłości, przynajmniéj dla dziadunia Łukaszka i dla nas jego wnuków, nim rok bowiem minął, tąż samą drogą, na jednokonnym wózku, jechaliśmy zwolna z całą chudobą do miasteczka. Znów zatrzymaliśmy się przy kapliczce, a dziaduś Łukaszek poszedł pomodlić się na mogiłki, przykazując zaczekać na siebie. Gdy go długo widać nie było, poszliśmy na groby; klęczał dziaduś Łukaszek na jednym i przyciskał usta do ziemi ojczystéj, ale były to już zimne usta trupa. Biedny dziaduś Łukaszek nie przeniósł oddalenia z rodzinnéj wioski, zkąd go Niemcy za podatki wygnali, pękło mu serce gdy się miał rozstać ze swoimi.

Po pogrzebie dziadusia, z matką powlekliśmy się do miasteczka, gdzie dostałem się do majstra krawieckiego, u którego matka znalazła służbę. Już byłem czeladnikiem i pomocą staréj matki, gdy mię powołano do landwery; gdym wystrojony przyszedł żegnać się z matką, umarła biedna z żalu. Jak tułałem się po obcych garnizonach w Prusach i Niemczech, bo nas Poznańczyków zawsze zdala od rodziny trzymają, nie będę wam opisywał, a przynajmiéj nie teraz.

Po kilku latach, gdym zupełne otrzymał uwolnienie, powróciłem do Poznania. Mało było roboty i trudno z pracy wyżyć; poradzono abym poszedł do Warszawy. Zanim w tę wybrałem się drogę, zapragnąłem raz jeszcze rodzinną zobaczyć wioskę. Zarzuciłem więc tłumoczek na plecy i piechotą puściłem się nad Noteć, znajomym sobie traktem. Droga mi wiodła się z początku, lecz gdym stanął w ojczystéj stronie, żadną miarą nie mogłem trafić do Żegocina. Ani dworu starego, ani chałup naszych nie było śladu; w ich miejscu stał budynek jakiś murowany, a za nim tu i owdzie w długiéj linii porozrzucane groby. Nie wierząc sobie przetarłem oczy... pierwszego przechodnia zagadnąłem ciekawie: jak się nazywa ta osada?.. Odpowiedział mi łamaną polszczyzną, iż osada zowie się Siegesfeld (pole zwycięztwa), dawniéj zaś stała tu wieś Żegocin. Wszystko się więc zmieniło pomyślałem, nawet nazwisko mojéj wsi rodzinnéj i to w tak krótkim czasie, w niespełna lat dziesięć! Ze wszystkiego co dawne, pozostała tylko rozwalona kapliczka i cmentarzyk wałem otoczony, z poniszczonymi od czasu grobami, o które nie dbała ręka ludzka. Smutny pomodliłem się na grobie dziadka Łukaszka, i zapaliłem świecę nad mogiłami ojców pana pułkownika. Była to pewno ostatnia, ręką podróżnego zapalona świeca, bo mieszkańcy nowéj osady wyrugowali dawniejszych kmieci Żegocina, którzy nie mogli się oprzeć nieprzyjacielowi pozbawieni wodza, i daleko rozproszyli się po Bożym świecie, nie doczekawszy owych przez pana pułkownika przepowiadanych lepszych czasów. I czy kiedy lepsze czasy nastaną, dodał zakończając swą powieść Franek, ja nie wiem!

— Niezawodnie nastaną, rzekł na to pan Stanisław, a nawet dziś już lepiéj się tam dzieje, jak niedawno. Smutna to historya którą opowiedział nam Franek, a podobnych wypadków w Poznańskiem, wydarzyło się nie mało. Obciążona podatkami szlachta, wciągana przez niemieckich spekulantów w długi wekslowe (na podpis), w rozmaite kosztowne a hazardowne przedsięwzięcia, bardzo często stawała się nie wypłacalną, a wtedy subhasta i marsz z majątku. Wiele też w tém i naszéj było winy, bo zamiast pracować, zamiast się oszczędzać, siedzieć w kraju na własnym zagonie, za wiele się bawiono, rozrzucano na zbytki, jeżdżono po zagranicznych miastach, wodach, udając polskich grafów. Cieszyło niemieckich spekulantów takie usposobienie szlachty, chętnie pożyczali im pieniędzy, a gdy majątek już był dostatecznie obdłużony, zaległ w podatkach, rzucali się na niego jak sępy, subhasta i marsz dziedzicu z torbami! Nie jeden w ten sposób, przypłacił zabawę utratą majątku i całej swojéj przyszłości. Innych, klęski wojenne, nieurodzaje, mory inwentarzy, lichwiarskie procenta, ot tak jak np. pana pułkownika, przywiodły do tego. Wystawiona na subhastę (sprzedaż) wioska, zawsze przechodzi w ręce cudzoziemców, bo to popiera całemi siłami rząd Pruski. Minister

Flotwel w Berlinie, wydawał nieraz do urzędników w Poznańskiém polecania, aby stawającym do licytacyi dóbr polakom, wszelkie stawiać przeszkody, przeciwnie zaś ułatwiać licytacyę niemcom. Dla większéj zaś tym ostatnim pomocy wyznaczył rząd Pruski tajemny fundusz jedynastu miljonów talarów, aby z niego udzielać pożyczki niemcom, pragnącym zakupić dobra ziemskie w Poznańskiem.

Jak tylko polska wioska wyjdzie z posiadania szlachcica, a dostanie się w ręce spekulanta niemieckiego, wnet następuje niezmierna w bycie wszystkiego ludu przemiana. Niemiecki pan odprawia polskich oficyalistów, a w ich miejsce sprowadza swoich amtmanów, ferwalterów; daléj idą w ślad koloniści, sadowiący się obok gruntów polskich włościan; a niechno tylko który z tych ostatnich zalegnie w podatku, opłacie czynszowéj lub innéj powinności, jak mu zaczną dokuczać niemieccy urzędnicy, tak się i gruntu pozbędzie na rzecz niemieckiego kolonisty i sam pójdzie służyć w świat Boży, gdzie go oczy poniosą. Gdy tak się rozproszy osada, Niemcy zanoszą prośbę do urzędu, aby nazwisko wsi zmienić na niemieckie, na co też zawsze zyskują pozwolenie, a tak zaciera się ostatni ślad pochodzenia polskiego. Tym sposobem rok rocznie, kawał po kawale, dostaje się ziemia Poznańska, kolebka naszego narodu, w ręce niemieckie. Widząc to trzej zacni obywatele: pp. Chłapowski, Plater, Bniński, umyślili założyć między sobą spółkę, zebrać kapitał dwóch milionów talarów, a to w tym celu, aby wykupywać dobra na subhastę wystawione i sprzedawać je następnie krajowcom, polakom, albo też samym zająć się ich administracyą. Spółkę taką nazwano *Tellus*, od wyrazu greckiego, znaczącego ziemię. Zacny to i piękny czyn i mamy nadzieję, że wszystkie serca polskie poprą zamiary tych panów, a tak sprawdza się przepowiednia pana pułkownika, o nadejściu lepszych czasów.

— Szczęść Boże tym zamiarom! wykrzyknęła zgromadzona czeladź.

Różności.

—

We wsi Waliszewie, p. Czajkowski otworzył szkółkę, do któréj dwadzieścia kilka dzieci uczęszcza. Uczą się czytania, pisania, arytmetyki, religii i służenia do mszy świętéj. Pięknie to zaiste patrzeć, jak owe dzieci, które dawniéj widywano na próżniactwie i swawoli czas marnujące, dziś z powagą, grzecznie i skromnie postępują parami do szkoły lub do kościoła. W okolicy powstalo kilka szkółek, a w Psarach córki dziedziczki uczą dziatwę wiejską, za co niech im Bóg wynagrodzi.

— W powiecie Opoczyńskim, jest miasteczko Gowarczów przeszło 1300 mieszkańców liczące. Ludność te stanowią w połowie chrześcijanie, w połowie starozakonni, a wszyscy zajęci prawie wyłącznie, wyrabianiem wozów gospodarskich. Nie było dotąd w miasteczku szkółki, dopiero teraz, za usilnem staraniem ks. Jankowskiego wikarego, powstały w Gowarczowie dwie szkółki: jedna codzienna dla dzieci, druga niedzielna dla czeladzi. Obie już mają około 40 uczniów.

— We wsi Udrygi w Augustowskiém, dnia 22 Grudnia r. z. poświęcono kościoł, wystawiony kosztem dziedzica p. Narbuta.

— Liczne starania i prace polek dla oświaty ludu, zasługują na powszechne uznanie. Donoszą nam, że we wsi Samowodziu, w powiecie Łukowskim, w ochronce utrzymywanéj kosztem dziedziczki, ochroniarka uczy przeszło 50 dzieci włościańskich, wieczorem za ta pełna poświęcenia i miłości ludu osoba, udziela naukę parobkom i gospodarzom. W wsi Dzbanicach pod Pułtuskiem, panna Teressa Dunkierk córka dziedzica pracuje na edukacyą dzieci włościańskich. W okolicac Mławy, w wielu także miejscach zaprowadzon szkółki elementarne i ochronki, a wszędzi panie i panny pracują nad ukształceniem l du, w którego szczęściu, znajdą kiedyś n piękniejszą nagrodę.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80—półrocznie kop. 90—kwartalnie kop 45—miesięcznie k
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio ale tylko po rs. 1 roc
Dodaje się przytem że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma be dnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.— Warszawa dnia 23 Lutego 1862 roku.

Północ



Wschód

Południe

w Lit. J. Herknera